



DWIE
SPLECIONE
KORONY

TAJEMNICE KRÓLA SHEPHERDA #2

RACHEL
GILLIG



Copyright © 2024
Rachel Gillig
Wydawnictwo Nowe Strony
All right reserved
Wszelkie Prawa Zastrzeżone

Redakcja:

Alicja Chybińska

Korekta:

Sandra Pętecka

Dominika Kalisz

Iwona Wieczorek - Bartkowiak

Redakcja techniczna:

Paulina Romanek

Projekt okładki:

Paulina Klimek

Ilustratorka:

Ida Chańko

www.wydawnictwoniezwykle.pl

Numer ISBN: 978-83-8362-433-4

RACHEL GILLIG

DWIE
SPLECIONE
KORONY

TAJEMNICE KRÓLA SHEPHERDA #2

TŁUMACZENIE
ALEKSANDRA GÓRCZYŃSKA

DWIE SPLECIONE KORONY

Zrobił kolejny krok do przodu i zacisnął dłonie na żelaznych kratkach celi. Równie dobrze mógł ścisnąć sople lodu.

– Wiem, że mnie słyszysz.

Śmiech rozbrzmiał w ciemności. Postać w środku celi usiadła, po czym się odwróciła. Ravyn musiał użyć całej swojej siły woli i opanowania, żeby się nie skrzywić. Grafitowe, prawie czarne oczy Elspeth zniknęły. Ich miejsce zastąpiły kocie tęczówki – żywe i żółte – należące do człowieka, który zmarł pięćset lat temu.

Król Shepherd nie drgnął, poruszały się tylko jego oczy.

– Jesteś tu całkiem sam, kapitanie – odezwał się głosem Elspeth. Jedyna różnica polegała na tym, że teraz brzmiał jedwabście, zwodniczo, spokojnie. Nienaturalnie.

– Czy to aby na pewno roztropne?

Ravyn zeszytniał.

– Zamierzasz wyrządzić mi krzywdę?

W odpowiedzi postać w celi posłała mu krzywy uśmiešek.

– Skłamałbym, gdybym powiedział, że o tym nie myślałem.

*Każdemu, kto kiedykolwiek czuł się zagubiony w lesie.
W zbłądzeniu jest coś niepokojąco odkrywczego*



*Bliźniacze Olchy są ukryte w miejscu, gdzie nie włada czas. W miejscu wielkiego smutku, rozlewu krwi i zbrodni. Między pradaawnymi drzewami, gdzie mgła przenika cię do szpiku kości. Właśnie tam spoczywa ostatnia Karta, czekając w uśpieniu. Las nie zna drogi, nie widzi ścieżki przez labirynt pułapek. Tylko ja mogę odnaleźć Bliźniacze Olchy...
...albowiem, to ja je tam ukryłem.*

PROLOG

Elsbeth

Ciemność nakładała się na siebie – bez początku i końca. Unosiłam się na tafli słonej wody, a nade mną majaczyło nocne niebo – księżyc i gwiazdy skryły się pośród ciężkich deszczowych chmur, które nigdy nie miały się rozwiać.

Trwałam. Nie czułam bólu, moje mięśnie były rozluźnione, umysł spowijała cisza. Nie miałam pojęcia, gdzie kończy się moje ciało, a zaczyna otaczająca mnie zewsząd woda. Po prostu poddałam się ciemności, zatracając w rytmicznych przyptywach i odpływach fal oraz szumie obmywającej mnie cieczy.

Czas mijał niepostrzeżenie. Jeśli nastawał świt, brzask poranka nie docierał do miejsca, w którym się znajdowałam. Mijały minuty, godziny i dni, kiedy unosiłam się na fali nicości i tylko jedna myśl uparcie kołatała się w mojej głowie, zaburzając otaczający mnie spokój.

Wypuść mnie.

Upłynęło jeszcze więcej czasu. Mimo to te dwa słowa nie ustępowały, nie pozwalając, by je zignorować.

Wypuść mnie.

Złałam się w jedność z wodą. Pozbawiona zdolności odczuwania bólu, bez pamięci, strachu czy nadziei. Byłam ciemnością, a ciemność była mną. Razem tworzyliśmy falę, która objęła się o brzeg, a ja nie mogłam ani tego zobaczyć, ani usłyszeć. Wszystko było wodą – wszystko było solą.

A jednak rozkaz z każdą chwilą stawał się coraz silniejszy.

Wypuść mnie.

Spróbowałam wypowiedzieć te słowa na głos. Mój głos brzmiał ostro, nieprzyjemnie, niczym pazury drapiące kamienną ścianę.

– Wypuść mnie.

Minuty. Godziny. Dni.

Wypuść.

Mnie.

Wtem, znikąd moim oczom ukazała się rozległa, czarna plaża, na której coś się poruszyło. Zamrugałam, powieki pokrywała warstwa soli.

Mężczyzna – odziany w złotą zbroję – stał na ciemnym brzegu, muskany kolejnymi przyplływami. Był wiekowy, a mimo to nie dało się po nim zauważyć, żeby zbroja, którą miał na sobie, mu ciążyła. Trwał w miejscu, potężny i silny niczym starożytne drzewo.

Spróbowałam go zawołać, ale znałam tylko dwa słowa.

– Wypuść mnie! – zapłakałam. Dopiero teraz zdałam sobie sprawę, że miałam na sobie wełnianą suknię nasiąkniętą wodą. Ciągnęła mnie w dół, pod powierzchnię, uniemożliwiając dokończenie zdania. – Wypuść...

Ręce, które wyciągnęły mnie z wody, okazały się lodowate.

Mężczyzna ułożył mnie na czarnym piasku. Kiedy pomógł mi się ponieść, nogi ugięły się pod mną niczym u nowo narodzonego źrebaka.

Nie rozpoznałam jego twarzy, jednak on znał moją.

– Elspeth Spindle – zwrócił się do mnie cicho i wbił we mnie spojrzenie oczu tak niepokojących, dziwnych i żółtych jak u kota, nie pozwalając odwrócić wzroku. – Czekałem na ciebie.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

RAVYN

Ręce Ravyna krwawiły.

Dostrzegł to dopiero, gdy pierwsze krople spadły na ziemię. Trzy stuknięcia w aksamitną krawędź Lustra, fioletowej Karty Opatrzności wystarczyły, żeby Ravyn zniknął. Był całkowicie niewidzialny. Jego palce i knykcie wbijały się w twardą, zbitą ziemię na dnie starożytnej komnaty, znajdującej się na skraju łąki.

Jednak to nie miało żadnego znaczenia. Czymże było kolejne skaleczenie, kolejna blizna? Ręce Ravyna nie były niczym więcej niż prostymi narzędziami. Nie były to dłonie dżentelmena, lecz wojownika – kapitana kawalerzystów.

Rozbójnika.

Zdrajcy.

Mgła przeniknęła do komnaty przez okno. Prześlizgiwała się przez pęknięcia w zbutwiałym suficie, a unosząca się wraz z nią sól szczypała Ravyna w oczy. Być może było to nieme ostrzeżenie przed dalszym rozgrzebywaniem ziemi u podstawy

starożytnego kamienia. Ostrzeżenie, że to, czego szukał, wcale nie chciało zostać odnalezione.

On jednak nie zwracał na to uwagi. Także był solą. Potem, krwią i magią. A mimo to jego stwardniałe dłonie nie mogły się równać z podłożem komnaty. Z biegiem lat stało się bezlitosne, twarde niczym kamień i tak niewzruszone, że Ravyn walcząc z nim, zdierał paznokcie, a na jego dłoniach pojawiały się kolejne szramy. Jednak to nie powstrzymywało mężczyzny, by kopać dalej, otoczony chłodem Karty Lustra, klęcząc w komnacie, w której tak często bawił się jako mały chłopiec, a która teraz jawiła się jako coś groteskowego – jako źródło legend i śmierci.

Potworów.

Obudził się kilka godzin wcześniej wstrząsany dreszczami i wspomnieniami o przenikliwym spojrzeniu żółtych oczu, jak i przez głos Elspeth Spindle odbijający się echem w jego umyśle.

To był jego zamek – ten, który obrócił się w ruinę, wyznała, a jej grafitowe oczy zaszyły łzami, gdy mówiła o królu Shepherdzie, głosie zamieszkującym jej umysł. Został pochowany pod kamiennym głazem, w starożytnej komnacie znajdującej się nieopodal Zamku Castle.

Ravyn zerwał się z łóżka i niczym widmo na wietrze wyruszył ze Stone, kierując się prosto do antycznej komnaty. Bez wytchnienia – wręcz szaleńczo – domagając się prawdy, ponieważ nic z tego nie wydawało się rzeczywiste. Król Shepherd o żółtych oczach i złowieszczym głosie uwięziony w ciele dziewczyny. Władca, który obiecał im pomoc w odnalezieniu zaginionej Karty Bliźniaczych Olch.

I który od pięciuset lat pozostawał martwy.

Ravyn znał śmierć od podszewki – nierzadko sam do niej doprowadzał, obserwując, jak światło życia gaśnie w oczach człowieka. Słyszał jej zwiastun, ostatnie, urywane tchnienie. Śmierć była ostateczna. Nie było po niej nic poza duchami, żadnego życia po śmierci. Nic dla żadnego człowieka, kieszonkowca czy rozbójnika – nic, nawet dla króla Shepherdza.

A jednak.

Nie wszędzie jednak ziemia znajdująca się u podstawy starożytnego kamienia była twarda i zbita. Gdzieś tam pozostała luźna i wzruszona. Ktoś pojawił się tutaj przed nim – i to niedawno. Być może to Elspeth, która tak samo jak on teraz poszukiwała odpowiedzi.

Głębiej, skryta pod cienką warstwą ziemi, spoczywała płyta, na której wyryto pojedyncze słowo, lecz z biegiem czasu się wytarło, uniemożliwiając jego odczytanie.

Nagrobek.

Ravyn nie przestawał kopać. Zaklął ostro i cofnął rękę, ponieważ zdarł kolejny paznokieć, gdy czubkiem palca natrafił na coś ostrego. Dzięki Karcie Lustra jego ciało pozostawało w ukryciu, lecz nie jego krew. Sączyła się z jego dłoni niczym szkarłatna wstęga i zmaterializowała się w chwili, kiedy skapnęła na ziemię, tracąc kontakt z jego skórą. Pochłonęła ją spragniona ziemia.

Coś zostało tam ukryte i czekało na odnalezienie. Kiedy Ravyn sięgnął w dół, dotknął czegoś ostrzejszego od zwykłego kamienia i zimniejszego od ziemi.

Stal.

Z sercem podchodzącym do gardła, kopał, aż wreszcie wy dobył miecz. Leżał na dnie, przekrzywiony i pokryty brudem. Nie ulegało wątpliwości, że to kuta stal z misternie wykonaną rękojeścią, zbyt ozdobną jak na zwykłą, żołnierską broń.

Sięgnął po nią, a sól unosząca się w powietrzu boleśnie kłuła go w płucach przy każdym oddechu. Zanim jednak wyciągnął miecz, dostrzegł coś, co zostało pod nim ukryte.

Leżał idealnie ułożony, nic nie zakłócało jego spokoju przez stulecia. Blady, wypukły przedmiot. Człowiek. A raczej jego szkielet.

Kręgosłup.

Mięśnie Ravyna się napięły. Zaszło mu w ustach, a żółć podeszła do gardła. Krew cały czas skapywała z jego dłoni.

Mężczyzna wpatrywał się w swoje znalezisko, czując, jak prawda uderza w niego na nowo. Blunder przepelniała magia. Niezwykła, przerażająca magia. Miał przed sobą ciało króla Shepherd. Króla, który naprawdę nie żył.

A mimo to jego dusza zagnieżdżyła się głęboko w Elspeth Spindle, jedynej kobiecie, którą Ravyn kiedykolwiek kochał.

Wybiegł z komnaty, zabierając ze sobą miecz.

Na zewnątrz, pochyliwszy się pod jednym z cisów, Ravyn zakaszłał, walcząc z torsjami. Drzewo było stare, jego gałęzie zaniedbane, tworzące gęsty baldachim skrywający mężczyznę przed porannym deszczem. Stał tak przez chwilę, a serce cały czas waliło mu młotem, nie zwalniając.

– Odpowiedz mi, kruczy ptaku, jaki cel w tym miałeś, że w komnacie kopaleś?

Ravyn odwrócił się gwałtownie, trzymając w dłoni sztylet z rękojeścią z kości słoniowej. Był sam. Na łące nie dostrzegł żywej duszy, niczego poza wędnącą trawą, a wąska ścieżka prowadząca do Zamku Yew była pusta.

Tajemniczy głos rozległ się głośniejsz niż poprzednio.

– Słyszałeś mnie, kruczy ptaku?

Nad głową Ravyna, wysoko na cisie, siedziała dziewczyna. Była młoda – młodsza od jego brata, Emory'ego – zaledwie dziecko, co najwyżej dwunastoletnie. Jej włosy, splecione w dwa ciemne warkocze, spływały na ramiona, a kilka luźnych kosmyków okalało jej twarz. Płaszcz, który miała na sobie, świadczył o bogatym pochodzeniu, ponieważ nie został wykonany ze zwykłej, szarej wełny. Spod okrycia wystawał misternie uszyty kołnierz.

Ravyn obejrzał ją, szukając insygniów jej rodu, ale niczego nie znalazł. Nie rozpoznawał jej. Z pewnością zapamiętałby tak uderzającą twarz – ten nos. Te żółte, przesywające spojrzenie.

Żółte.

– Kim jesteś? – zapytał, a szorstkość w jego głosie niemal dra-
pała mu gardło.

Patrzyła na niego żółtymi oczami, przechylając głowę na bok.

– Jestem Tilly.

– Co tutaj robisz, Tilly?

– To co zawsze robiłam. – Przez krótką chwilę dziewczynka
przypominała mu Jespyr z czasów dzieciństwa. – Czekam.

Deszcz przybrał na sile, wspomagany gwałtownym wiatrem.
Krople uderzały w twarz kapitana, a podmuchy wiatru zerwały
mu kaptur z głowy. Uniósł rękę, osłaniając oczy przed wodą.

Dziewczynka na drzewie nie drgnęła, chociaż gałąź, na której
siedziała, drżała, podobnie jak rosnące na niej liście cisu. Ani jej
płaszcz, ani jeden kosmyk ciemnych włosów nie poruszył się na-
wet o centymetr. Zdawało się, że deszcz i wiatr przenikały przez
nią, jakby była wytworem mgły i dymu.

Nicości.

Dopiero wtedy Ravyn przypomniał sobie, że nadal używał
Lustra.

To musiał być prawdziwy powód, dlaczego porzucił sen i ru-
szył do komnaty. Dlaczego kopał w ziemi gołymi rękami, zdzie-
rając je do krwi i odnalazł ciało króla Shepherdą. To Karta Lustra
zawierała w sobie odpowiedzi, których poszukiwał.

Ravyn używał jej tysiące razy, żeby stać się niewidzialnym.
Ale zawsze uważał, żeby nie korzystać z niej zbyt długo. Nie
chciał narażać się na negatywne skutki i zaglądać za cienką za-
słonę pomiędzy światem żywych i martwych. Nigdy nie zamie-
rzał rozmawiać z duchem.

Aż do teraz.

Odchrząknął. Nic nie wiedział o duchach ani o ich usposobie-
niu. Czy były takie same jak za życia? Czy może życie po śmierci
w jakiś sposób je... zmieniało?

– Na kogo czekasz, Tilly? – Uniósł głos, przekrzykując szale-
jący wiatr.

Oczy dziewczyny powędrowały na miecz spoczywający w jego dłoni, po czym skierowała spojrzenie na komnatę.

– Znasz człowieka, który został tam pochowany? – spróbował ponownie Ravyn.

Roześmiała się, jej głos brzmiał ostro.

– Tak, bardzo dobrze znam tę okolicę, ptaszysko. Tak dobrze jak własną kieszeń. Równie dobrze, co rosnące tu drzewa i twarze osób, przechodzących pod konarami. – Owinęła palce wokół jednego z warkoczy. – Przypuszczam, że o nim słyszałeś. – Jej usta wykrzywiły się w uśmiechu. – Dziwny z niego człowiek, ten mój ojciec. Ostrożny. Sprytny. Dobry.

– Król Shepherd to twój ojciec? – Ravyn wziął gwałtowny wdech.

Jej uśmiech zbladł, a spojrzenie żółtych oczu stało się odległe, nieobecne.

– Nie urządzili mu królewskiego pochówku. Pewnie właśnie dlatego, on nigdy... – Znowu skierowała spojrzenie na Ravyna. – Nie widziałeś go za pomocą swojej Karty Lustra, prawda? Obiecał, że nas odnajdzie, gdy przejdzie na drugą stronę. Ale się nie pojawił.

– Nas?

Dziewczyna odwróciła się, przeczesując spojrzeniem las rosnący po drugiej stronie łąki.

– Matka jest gdzieś tam. Nie przychodzi tu już tak często, jak kiedyś. Ilyc i Afton przesiadują niedaleko rzeźb. Fenly i Lenor trzymają się blisko twojego zamku. – Zmarszczyła brwi, a czoło przecięła bruzda. – Z kolei Bennett często przebywa gdzie indziej. Nie zginął tutaj. Nie, tak jak reszta z nas.

Zginał. Ravyn poczuł, jak z nerwów zaciska mu się gardło.

– To... to twoja rodzina? Rodzina króla Shepherd?

– Czekamy – oznajmiła, krzyżując ramiona na piersi. – Na ojca.

– Dlaczego nie wraca?

Dziewczyna nie odpowiedziała. Jej wzrok znowu powędrował w kierunku ruin.

– Wydawało mi się, że słyszałam jego głos – wymruczała. – Zapadła noc. Byłam sama, właśnie tutaj, na moim ulubionym drzewie. – Zwróciła spojrzenie na Ravyna. – Widziałam cię, kruczy ptaku. Przyszedłeś, tak jak zwykle, okryty w ten czarny płaszcz, szarooki i czujny, z poważnym licem. Jednak tym razem, nie byłeś sam. Towarzyszyła ci kobieta. Niezwykła kobieta, z żółtozłotymi oczami, takimi jak moje. Jak mojego ojca.

Wnętrznosci Ravyna wywinęły fikołka.

– Obserwowałam, jak oboje odchodzicie, ale później kobieta wróciła. – Tilly wskazała palcem na okno starożytnej komnaty. – Weszła do środka. I wtedy to usłyszałam. Piosenki, które zwykł nucić mój ojciec, kiedy pisał swoją książkę. Jednak kiedy tam weszłam, nie znalazłam go. To ona je nuciła, rozgrzebując ziemię nad grobem mojego ojca.

– Elspeth – wyszeptał kapitan, czując, jak jej imię pochłania jakąś jego cząstkę. – Ma na imię Elspeth.

Tilly zdawała się go nie słyszeć.

– Dwa razy pojawiła się w komnacie, rozkopując jego grób, aż do nagrobka. Wędrowała po okolicy i ruinach. – Zaciśnęła usta. – Jednak kiedy nastał świt, jej żółte oczy zmieniły kolor i stały się grafitowe. Więc postanowiłam wrócić tutaj, niedaleko jego grobu, by obserwować. I czekać.

Ravyn nie odpowiedział, czuł, że jego umysł poszukuje odpowiedzi, których nie miał. Przywołał wspomnienie tej nocy, kiedy zaprowadził Elspeth do komnaty. Wciąż czuł zapach jej włosów, dotyk jej dłoni na swoim policzku. Pocałował ją, a ona odwzajemniła pocałunek. Każda komórka jego ciała pragnęła Elspeth.

I wtedy oderwała się od niego z szeroko otwartymi oczami, a jej głos drżał. Bała się czegoś w tej komnacie. Nabrał wówczas przekonania, że chodziło o niego, jednak teraz już wiedział, że to coś innego – coś znacznie większego – coś, co nieustannie jej towarzyszyło.

Jego wzrok ponownie powędrował do dziewczyny siedzącej na cisie.

– Co się stało z twoim ojcem?

Tilly nie odpowiedziała.

– Jak umarł? – Ravyn spróbował jeszcze raz.

Odwrociła wzrok, jej palce tańczyły nerwowo na jednej z gałęzi.

– Nie wiem. Dopadli mnie w pierwszej kolejności. – Jej głos uciął. – Przeszłam przez zasłonę przed ojcem i braćmi.

Poczuł chłód, który nie miał nic wspólnego z Kartą Lustra. To coś zupełnie innego. To było pytanie, czające się w ciemnym zakamarku jego umysłu, na które z góry znał odpowiedź. Lecz mimo to zapytał:

– Kto cię zamordował?

Jej żółte oczy zapłonęły, wbijając się w Ravyna.

– Znasz jego nazwisko. – Jej głos nabrał niskich tonów, przechodząc w głęboki, upiorny zgrzyt. – Rowan.

Insygnia króla zabłyśły w umyśle mężczyzny. Flaga jego wuja – nieustępliwa jarzębina. Czerwona Karta Sierpa, zielone oczy. Łowcy, brutale.

Rodzina.

Krwawiące dłonie Ravyna zaczęły drżeć.

– Długo czekaliśmy na ojca – odezwała się Tilly, spoglądając w górę, jak gdyby zwracała się wyłącznie do cisu. Jej głos stał się bardziej stanowczy, a palce niczym szpony zacisnęła na kolanach. – Będziemy czekać, dopóki nie zakończy swojej misji.

Dreszcz przebiegł po plecach kapitana. Pomyślał o stworzeniu zamieszkującym ciało Elspeth Spindle – o jego żółtych ślepiach i wypowiedanych zwodniczych, gładkich słówkach, które padły w lochu. O obietnicy, jaką złożył, że pomoże im odszukać Kartę Bliźniaczych Olch.

Ale nie był głupi. Wiedział, że wszystko ma swoją cenę. Blunder to miejsce, gdzie magią się kupczyło i która stanowiła cenny przedmiot na wymianę. Nie ma nic za darmo.

– Czego chce w zamian król Shepherd? – zapytał ducha dziewczyny. – Jaki jest jego cel?

– Przywrócenie równowagi – odparła, przechylając głowę, niczym drapieżny ptak. – Naprawienie strasznych zbrodni. Uwolnienie Blunder od Rowanów raz na zawsze. – Zwężała żółte oczy, które nabrały mściwego wyrazu. – I odebranie tego, co mu się należy.